

Dariusz Karłowicz

## Pierwszy rok bezkrólewia

Minął pierwszy rok bezkrólewia. W osobie Jana Pawła II utraciliśmy nie tylko wielkiego Papieża, Chrystusowego świadka i duchowego przewodnika, ale również faktycznego króla Polski. Jakkolwiek kłopotliwa wydaje się ta prawda, to właśnie biskup Rzymu, a nie na przykład wybierany w wyborach powszechnych prezydent, odgrywał rolę niekonstytucyjnego wprawdzie, a jednak nie malowanego przywódcy. Kto inny dawał nam w trudnych chwilach poczucie jedności, kto pomagał zrozumieć aksjologiczne ramy naszej wspólnoty politycznej, kto był rodzajem najwyższego arbitra w kwestiach pamięci? Czy nie Papież określał postać i zakres wspólnych wartości, uczył miłości do Ojczyzny, mówił o potrzebie solidarności i ofiary, wzywał umarłych bohaterów i pokolenia, które mają nadejść? Do kogo po potwierdzenie swojego mandatu jechali kolejni marszałkowie, premierzy, prezydenci? Ten wielki – być może największy w naszej historii – król umarł. Tron od roku jest pusty.

Warto zadać sobie pytanie, co ta nowa sytuacja znaczy dla polskiej polityki? Czy sobie z nią radzimy? Obawiam się, że nie. I to również dlatego, że na ten kryzys – mówiąc językiem Arystotelesa i Cyncerona – ustroju mieszanego, który po '89 roku próbowaliśmy urzeczywistnić trochę bezwiednie i odruchowo, nałożył się kryzys drugi. Chodzi o głęboki konflikt, który także dotyka fundamentów ustrojowych państwa – spór o republikański charakter Polski, bo tak właśnie można traktować spór o IV RP, jaki toczą dziś z taką gwałtownością środowiska demokratów i oligarchów.

Kwestia pierwiastka monarchicznego, który uosabiał Jan Paweł II, była i jest sprawą niezwykle delikatną. Bo chociaż – gdy mówimy o ustroju rzeczywistym, a nie tym papierowym, zapisanym w konstytucji – Jan Paweł II odgrywał rolę króla Polski, to jednak z drugiej strony był przede wszystkim (również dla nas) głową Kościoła Powszechnego. I może właśnie dlatego –

chodzi o rodzaj delikatności – unikaliśmy nazywania rzeczy po imieniu. Oczywiście obok delikatności przeszkodę stanowiła również słabość będącej w użyciu teorii politycznej, która nie pozwala zauważyć, nazwać i opisać niczego, co nie mieści się w postoświeceniowej sztancy. Widać to zwłaszcza wtedy, gdy mowa o osobliwości arcywłoskiej relacji Kościoła i państwa. Wobec tych fenomenów teoria polityczna wzięta z kserokopiarki, a nie z refleksji nad Polską rzeczywistością i tradycją, jest całkowicie bezradna. I może właśnie z powodu braku języka zdolnego opisać tę sytuację tak trudno dziś dostrzec, że po śmierci polskiego Papieża mamy do czynienia z czymś w rodzaju ukrytego czy nienazwanego kryzysu ustrojowego Rzeczypospolitej. Przestała istnieć instytucja, której znaczenie dla spójności i stabilności polskiej polityki trudno przecenić. Jednak mimo że ten tak ważny element organizujący polską wspólnotę polityczną zniknął już ponad rok temu, to my, żyjąc w świecie naszej językowo-prawnej fikcji, nawet tej zmiany nie odnotowaliśmy. Czy można wątpić, że wiele naszych obecnych problemów ma tu swoje źródła?

Dla obywateli Rzeczypospolitej śmierć króla oznacza, że zniknęła osoba, która definiowała i ożywiała sens takich pojęć jak patriotyzm, tożsamość, solidarność, ofiara, sprawiedliwość. Dla polskiej polityki – że straciła instancję, która przez ostatnie ćwierć wieku legitymizowała bądź odmawiała legitymizacji kolejnym rządów, kierunkom przemian, wielkim decyzjom ustrojowym czy cywilizacyjnym. Obecny kryzys wydaje się przede wszystkim kryzysem legitymizacji władzy, istniejącego porządku i politycznych celów, którym – jak się zdaje – w świetle obowiązujących reguł brakuje uzasadnienia dostatecznie poważnego. Brak wagi i powagi. Przyglądając się sytuacji po śmierci Jana Pawła II, mam wrażenie, że w Polsce prawie wszyscy, nie wyłączając polityków, mają słabsze

czy silniejsze przekonanie, że demokratyczne wybory nie są dostateczną legitymizacją władzy i jej zasadniczego politycznego projektu, że bez symbolicznego aktu, jakim do niedawna było spotkanie z Papieżem – czegoś władzy brakuje. Widzieliśmy to tuż po wyborach, czyli w apogeum siły demokratycznie wybranych przedstawicieli, kiedy polska klasa polityczna szukała sobie oparcia, peregrynując po stolicach biskupich. Tak jakby szukano interreksa, jakby mandat udzielony przez obywateli w akcie wyborczym nie wystarczał. Musimy powiedzieć sobie jasno: wraz ze śmiercią Jana Pawła II nie tylko zabrakło nam nauczyciela duchowego. Wraz z odejściem tego, który przekazywał insygnia władzy kolejnym gabinetom, zginęły gdzieś same insygnia. Czy można udawać, że nic się nie stało?

Długo by pisać o przyczynach królewskiej pozycji Jana Pawła II w niepodległej Rzeczypospolitej. Z pewnością przyczyniła się do tego świadomość roli, jaką Papież odegrał w powstaniu Solidarności i odzyskaniu wolności. Nie bez znaczenia był charyzmat Jana Pawła II, który potrafił być zarazem dość daleko i dość blisko, stawać ponad podziałami, nie bać się prawdy, ale nie wykorzystywać jej jako pistoletu do załatwiania bieżących porachunków. Zdolność do myślenia i działania w perspektywie dobra wspólnego, niemożliwa do zakwestionowania bezinteresowność i patriotyzm w postaci krystalicznej – dobrze rzucały się w oczy na tle tego, co działo się na scenie politycznej III RP. Być może na króla wybraliśmy go już w 1979 roku – tyle że wtedy jeszcze króla bez ziemi, króla uchodźcę. W dziesięć lat później oficjalna intronizacja nie była nawet potrzebna – choć wystąpienie Papieża w parlamencie można uznać za wydarzenie mające cechy koronacji. A może nawet więcej: koronacji i zarazem przyjęcia mieszanego monarchiczno-arystokratyczno-demokratycznego ustroju republikańskiej Polski, ustroju, który

## Pierwszy rok bezkrólewia

Dariusz Karłowicz

bardzo głęboko tkwi w polskiej tradycji i wyobraźni politycznej. Tę swego rodzaju polityczną oczywistość czy zadomowienie w takiej właśnie postaci ustrojowej Rzeczypospolitej niezwykle lakonicznie ujmuje sławne pozdrowienie zwracającego się do parlamentu Papieża: „Wiwat Król, wiwat Naród, wiwat Wszystkie Stany!”.

W ukształtowaniu się takiego porządku z pewnością ważną rolę odegrała również ucieczka polityków III RP do bezpiecznego schronu minipolityki, pojętej nieomal wyłącznie jako administrowanie wzrostem gospodarczym. Ta sprawa nie wymaga wielu dodatkowych wyjaśnień. Politycy, którzy istotę swojej misji zredukowali do zagadnień gospodarczych, a wszelkie zagadnienia aksjologiczne uważali za „tematy pozorne” – nie próbowali nawet konkurować z Papieżem na tym polu. Budowane wbrew radom Ralfa Dahrendorfa zimne państwo miało zimnych, fachowych, technokratycznych przywódców, którzy jak ognia unikali tematów

metapolitycznych. W świecie polityki sprowadzonej do kwestii PKB i inflacji, i obojętnej na los tych, którzy nie potrafią lub nie mogą „wziąć losu we własne ręce” – pojęcia patriotyzmu, jedności, tożsamości brzmiały obco, a nawet wrogo. Zaborczy dyskurs „księgowych” (z całym szacunkiem dla księgowych!) – jako skutek uboczny – wytwarzał ogromną potrzebę rozmowy o sprawach wspólnoty, pamięci i solidarności wyrażonej kategoriami innymi niż ekonomiczne. Papież odważnie mówił o sprawach, które politycy lat 90. lękliwie wykreślali ze swoich przemówień. Robił to porywająco i miał na to monopol.

Kolejną przyczyną monarchicznej pozycji Papieża jest oczywiście polityczna pozycja Kościoła w Polsce. Jak niewiele zrozumiemy z polskiej rzeczywistości, jeśli zechcemy posłużyć się obowiązującym językiem państwowo-prawnej teorii – widać najlepiej w kwestii relacji państwa i Kościoła. Nikt, kto chciałby ograniczyć się do lektury zapisów ustrojowych, nie domyśliłby się nie tylko tego, jak poważną rolę polityczną odgrywa w Polsce Kościół, ani co jeszcze bardziej niezwykle – że dzieje się tak za powszechną nieomal aprobatą. Nie wiem, czy istnieje choć jedno wpływowe środowisko, które ścisły rozdział Kościoła i państwa

przyjmowałoby jako postulat praktyczny. Powtarzam: nie chodzi o deklaracje. Tutaj jest oczywiście inaczej. Kiedy jednak dzieją się sprawy, które dane środowisko uważa za naprawdę ważne – np. integracja europejska czy transformacja gospodarcza – wówczas wszyscy, od „Tygodnika Powszechnego” po SLD liczą, ba! naciskają na aktywne zaangażowanie Kościoła. Wystarczy spojrzeć na pierwsze strony prasowych organów

środowisk zaangażowanych w istotne spory ostatnich 17 lat. Wypowiedzi kleru i hierarchów decydujących się na udzielenie politycznego wsparcia któremuś z promowanych projektów są tam zawsze w szczególnej cenie. Podkreślmy: nie idzie mi o piętnowanie brzydkiej hipokryzji (nie chcę zabierać chleba piosenkarzom rockowym i nowej lewicy), lecz o nieadekwatność wykorzystanej teorii do żywej tradycji i rzeczywistości polskiej polityki, która wymyka się próbie opisu, skazując nas na język, który nie mówi o niczym poza fantazjami jego twórców. Sposób, w jaki Polacy przeżywają sprawy wiary i obecności chrześcijaństwa na publicznym forum, rola

---

*...to właśnie biskup Rzymu,  
a nie na przykład wybierany  
w wyborach powszechnych  
prezydent, odgrywał rolę  
niekonstytucyjnego wprawdzie,  
a jednak nie malowanego  
przywódcy...*

*Ten wielki – być może największy  
w naszej historii – król umarł.  
Tron od roku jest pusty. Warto  
zadać sobie pytanie, co ta nowa  
sytuacja znaczy dla polskiej polityki?  
Czy sobie z nią radzimy?*

---

Kościół w formowaniu i konserwacji moralności publicznej, niezwykła powszechność zgody na transcendentny charakter źródeł wartości i wreszcie zadań Kościoła jako strażnika depozytu i hermeneuty sprawiają, że postawienie prawdy prawniczej wiary brzmią w Polsce wyjątkowo fałszywie.

Oczywiście i na szczęście rola Kościoła polega przede wszystkim na obecności w sferze metapolitycznej, na określaniu pewnych granic aksjologicznych, w których poruszać się może polityka (inna sprawa, że praktyczna możliwość odróżnienia działań metapolitycznych od politycznych prosta wydaje się tylko w teorii). Jest to władza w obszarze przedpolitycznym, ale władza rzeczywista. Nasz król rzadko opuszczał rejony metapolityki – ale trudno wyobrazić sobie ostatnie 15 lat bez jego aprobaty dla kierunku i zasadniczej postaci dokonujących się w Polsce przemian. Porównanie roli Jana Pawła II do roli króla ma, jak wszystkie metafory, swoje ograniczenia. Z pewnością papieskiej roli w polskiej polityce nie sposób zrozumieć, nie przypominając politycznej pozycji prymasów Polski związanej z ich funkcją interreksa. Ostatni polski król był oczywiście również ostatnim polskim interreksem. Wiedział o tym każdy jadący do Rzymu premier i prezydent III RP, wiedział wskakujący do papamobile Aleksander Kwaśniewski. Wiedzieli o tym władcy PRL-u. Ten sens mając na uwadze, powiedzieć można, że Kościół nigdy nie przekazał insygniów monarszych władcom PRL-u – co w wyobraźni zbiorowej czyniło ich rządy uzurpacją. Wystarczy przywołać obraz generała Jaruzelskiego przed jego warszawskim spotkaniem z Papieżem. Spotkanie uzurpatora z monarchą. Operator jednej z pracujących tam ekip telewizyjnych opowiadał mi, jaki problem mieli realizatorzy z takim ustawieniem kadru, żeby widzowie nie zobaczyli dygocących kolan generała. Jak pamiętamy, nie udało im się. Nie mogło się udać.

Niestety, dla nas na skutki bezkrólewia nakładają się problemy związane z próbami powrotu do republikańskich ideałów wspólnoty. III RP, w deklaracjach budowana jako republika, a więc mówiąc językiem doskonale zadomowionego w naszej tradycji Cycerona – RZECZ WSPÓLNA (*res publica*), nieomal od zarania przeżywa głęboki kryzys republikanizmu właśnie. Składające się nań zjawiska, od połowy lat 90. opisywane w kręgach konserwatywnych filozofów polityki, zostały z ogromną plastycznością zilustrowane przez to, co telewizywnie w całej Polsce ujrzeli podczas przesłuchań sejmowych w trakcie afery Rywina. Jeśli w kwestiach tak spekulatywnych jak teoria polityki może istnieć dowód, to komisja dostarczyła naczynego dowodu argumentom krytyków III RP. Cyniczny język i nawyki, ostentacja w lekceważeniu najważniejszych instytucji wspólnoty politycznej, wyraźne poczucie bezkarności, niezwykle paternalizm, salonowo-mafijny tryb tworzenia prawa – ukazywał oczom zdumionych obywateli naturę RZECZY CUDZEJ – obraz państwa zawłaszczonego przez obojętne na wspólne dobro grupy interesów. Jeśli o projekcie ustroju III RP można – posługując się językiem Platona – mówić jako o republice o ustroju mieszanym, a więc demokratyczno-arystokratyczno-monarchicznym, to afera Rywina potwierdziła tezę o głębokiej oligarchizacji rzeczywistych mechanizmów sprawowania władzy.

W pewnym uproszczeniu projekt IV RP i niezwykle przebieg ostatnich wyborów daje się więc zrozumieć jako rewolta pierwiastka republikańskiego – jako rodzaj skierowanej przeciw oligarchom rewolty demokratów. W istocie krytyka III RP nie była krytyką totalną, a projekt IV RP miał bardziej walor projektu metapolitycznego niż politycznego programu przebudowy państwa. Nikt o zdrowych zmysłach nie kwestionował ogromnego dorobku 15 lat niepodległości. Krytyczne ostrze

## Pierwszy rok bezkrólewia

Dariusz Karłowicz

metapolitycznego projektu IV RP kierowane było właśnie w stronę antyrepublikańskiego charakteru stworzonego po '89 roku państwa – w tym przede wszystkim niedostatku demokracji, sprawiedliwości i solidarności. Paternalizm porozumiewających się nad głowami obywateli elit, naruszająca poczucie sprawiedliwości praktyka grubej kreski (której symbolem była afirmacja generała Kiszczaka jako człowieka honoru) oraz jej skutki gospodarcze i społeczne, a wreszcie idea i praktyka transformacji niesolidarnej były podstawowymi i dotkliwie odczuwanymi defektami Rzeczypospolitej. Fakt, że wybory odsunęły od władzy zarówno postkomunistów, jak i tych postsolidarnościowych polityków, którzy znajdowali się w orbicie pałacu prezydenckiego, dobrze świadczy o sukcesie tej diagnozy oraz o republikańskiej i antyoligarchicznej naturze wyborczych decyzji. Warto przypomnieć, że w drugiej turze wyborów prezydenckich krytycy III RP mieli już 100% poparcia.

Jeśli z poziomu polityki można tworzyć jakieś fakty metapolityczne, to tylko (z wyjątkami tak rzadkimi, że można je tu pominąć) w warunkach pełnej zgody przedstawicieli – w warunkach pewnego typu metapolitycznej konstytuandy. Symboliczny powrót do idei demokratycznej partycypacji, sprawiedliwości i solidarności jako zasad organizujących republikę nie był możliwy bez jednomyślnej zgody wspólnoty politycznej reprezentowanej przez obu zwycięzców ostatnich wyborów. Klęska koalicji i następująca po niej wojna domowa demokratów zniweczyła tę szansę – niespodziewanie wzmocniając obóz oligarchiczny, który z ogromnym zaangażowaniem odnalazł się w roli kibica jednej ze stron bratobójczej wojny. Niestety, nikt nie zauważył, że brak koalicji zamknął rozdział metapolitycznych nadziei wyborców, że skończyła się metapolityka, a zaczęła zwykła polityka. Jednym ze skutków tego stanu rzeczy jest fakt, że polityka pustoszy dziś metapolitykę, a metapolityka politykę –

choć z różnych przyczyn wielu polityków i krytyków PiS-u sądzi, że realizacja niektórych choćby politycznych implikacji projektu IV RP daje prawo do przypisywania tej formacji statusu chorążego metapolitycznej odnowy. To płonne nadzieje. Ministrowie (choćby najbardziej charyzmatyczni) nie są w stanie zadekretować zmiany aksjologicznych fundamentów wspólnoty politycznej. Dlatego nawet faktyczne dokonania gabinetu Marcinkiewicza nie pomogą zbliżyć się do realizacji projektu IV RP, gdy z kolei błędy skutecznie od niego oddalają, ba! niszczą. Z drugiej strony rozbudzone nadzieje metapolityczne tworzą oczekiwania zmian, którym sprostać nie mógłby żaden gabinet. Podobnie jak w początku lat 90., metapolityka i polityka szkodzą sobie nawzajem.

W trudnej sytuacji stawia to główne elementy samoidentyfikacji projektu IV RP. Rozbudzone oczekiwanie na coś w rodzaju wspólnotowego momentu konstytucyjnego sprawia, że demokratyczna gra polityczna, polaryzacja poglądów, ba! sam system wielopartyjny paradoksalnie postrzegane są jako zdrada obietnic demokratyzacji wspólnoty. Paradoks demokracji polegający na tym, że jedność i zgoda w metapolityce (choćby w kwestii mechanizmów demokratycznych) skutkuje polityczną wielością i sporem w obszarze polityki – staje się kłopotliwy, gdy zaburzone zostaje rozróżnienie między tymi sferami. Pluralistyczna rzeczywistość codziennej polityki mierzona nadziejami jedności z porządku metapolityki wydałaby się miałka i rozczarowująca, nawet gdyby miała dużo więcej zalet niż obecna. O tym, że pozwala to przedstawiać jednomyślną rzeczywistość polityki oligarchicznej jako ideał demokratycznej jedności – mówić nawet nie trzeba.

Podobnie, jeśli nie gorzej, z oczekiwaniem na przywrócenia koherencji dyskursowi

o sprawiedliwości. Tu sprawa jest tyleż smutna, co jasna. *Toutes proportions gardées* – dla projektu IV RP Andrzej Lepper odgrywa rolę identyczną z tą, którą w III RP odgrywał generał Kiszczak. Jeśli instytucje wspólnoty politycznej mają się powoływać na w miarę choćby spójny dyskurs o sprawiedliwości, to człowiekiem honoru nie może być ani były szef komunistycznej policji politycznej, ani człowiek słusznie będący symbolem bezradności prawa, anomii i chaosu. Próba budowania autorytetu instytucji wspólnoty, które opierają się na symbolicznej aprobacie dla życiowych wyborów Kiszczaka czy Leppera – jest przeciwskuteczna. Praktyka szacunku dla prawa obciążona symbolicznymi aktami braku szacunku dla sprawiedliwości wydaje się na dłuższą metę niemożliwa. Wzywanie do demokracji, poszanowania ludzkiej godności, respektowania prawa (w tym praw człowieka) z Kiszczakiem i Jaruzelskim jest równie obiecujące jak nawoływanie do solidarności, podatkowej skrupulatności, czy szacunku wobec kontraktów z członkami Samoobrony. Jak skomplikowany staje się w tych warunkach spójny dyskurs o suwerenności kulturowej i politycznej, mówić nawet nie trzeba (bo, niestety, nic się tu nie zmieniło). Czy znaczy to, że w obecnych warunkach nie można zrobić nic pożytecznego? Nic podobnego. Polska z Lepperem nie musi być mniej efektywna od Polski z Millerem, Pawlakiem, Kwaśniewskim, Olechowskim czy Oleksym. Fakt, że z pewnością nie będzie to IV RP, nie znaczy, że musi to być kosmiczna czarna dziura – jak widzą to manichejsko usposobieni krytycy. Zachęcając do zniuansowanego widzenia III RP, warto byłoby zresztą z większą subtelnością

kreślić obraz sytuacji obecnej, która – o ile nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności – stanowić może raczej polityczną korektę niektórych rozwiązań III RP niż gruntowną zmianę (z wyjątkiem być może, a i to nie na pewno, zmiany sytuacji niektórych oligarchów).

Konflikt w obozie demokratów sprawił, że cały szereg ośrodków powołanych do możliwie rzetelnego opisu stanu rzeczy zamienił się w coś pośredniego między manichejskimi sektami, oddziałami egzorcystów i jednostkami zmilitaryzowanymi. Wojna tworzy sytuację, w której milkną muzy, zwłaszcza te odpowiedzialne za jakość i subtelność dyskursu. Co ciekawe, większość krytyków zajmuje się przewidywaniem tego, co się stanie – pisanie o tym, co się dzieje, nie jest dziś w cenie. Wystarczy wziąć do rąk gazetę, by się przekonać, że od czasów starotestamentowych nie notowano takiego wysypu proroków (może z wyjątkiem dla pierwszej połowy lat 90.). O tym, że są to wizje czarne – mówić nie trzeba. Wbrew pewnym podejrzaniom, które rodzi niezwykła stadność tego zjawiska, autorzy prognoz nie udają hysterii. Dziesiątki intelektualistów, publicystów, komentatorów na przemian wieszczą i przerażają się swoją wizją. Optymiści twierdzą, że to minie. Może wtedy wróci do łask odrobina dystansu i poczucia humoru, które pozwolą zabrać się za trzeźwą analizę źródeł naszych kłopotów i szukanie pomysłów, jak im zaradzić. Bo jest to dyskusja pilnie dziś potrzebna.

*Dariusz Karłowicz*

*filozof, prezes Fundacji Świętego Mikołaja.*

*Wydał ostatnio *Sokrates i inni święci**

*(Fronda, OMP, Warszawa 2005).*